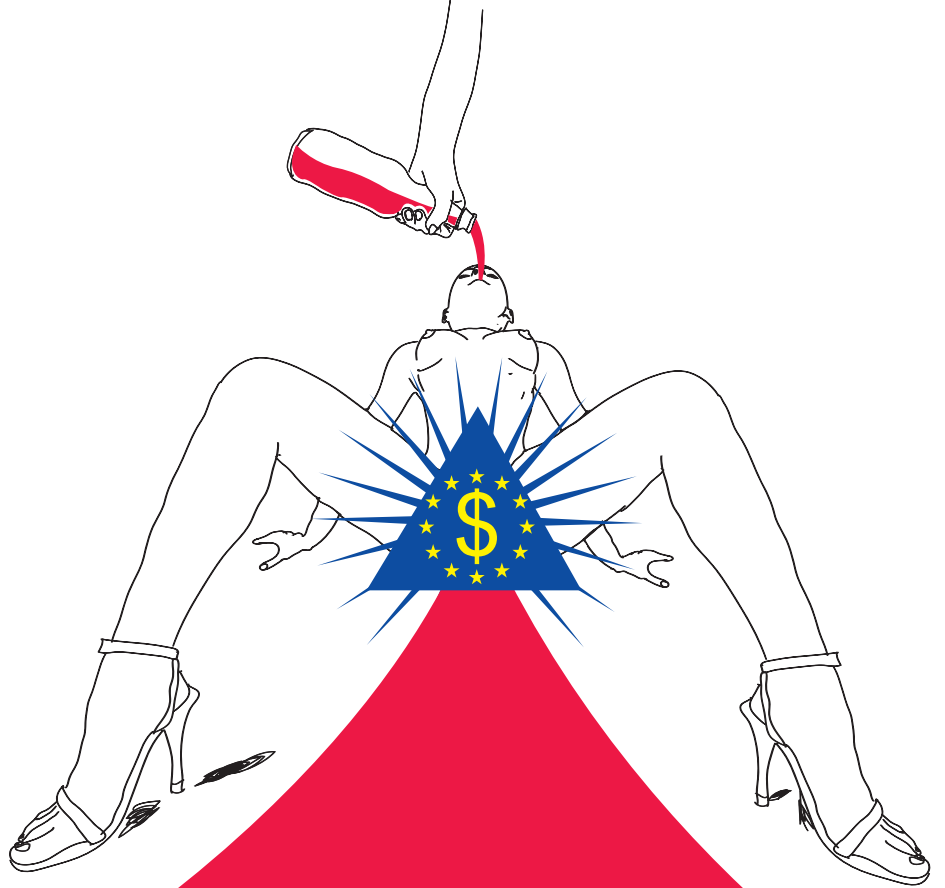


BIAŁY MURZYN EUROPY

Łukasz Makuła

BIAŁY MURZYN EUROPY

Łukasz Makuła

Jirafa Roja
Warszawa 2016

© Copyright by Łukasz Makuła, 2016
© Copyright by Jirafa Roja, 2016

Projekt okładki: Piotr Golemo
Korekta: Natalia Kiłoczko
Skład: TYPO2

ISBN 978-83-63879-65-5

Wydanie I
Warszawa 2016



www.biblioteka-analiz.pl

For Nose & Eyes and all friends I met on the road

Nie ma większego cierpienia
Niż wspominać szczęście wśród niedoli
/Dante Alighieri, *Boska Komedia*
Tłumaczenie Agnieszki Kuciak/

Świat dzieli się na dwie połowy,
w jednej z nich jest nie do życia,
w drugiej nie do wytrzymania
/Marek Hłasko/

1. Wszechmogące prostowniki

Istnieje taki moment tuż przed przebudzeniem, kiedy sen ześlizguje się jeszcze z powiek, ale mózg już na krawędzi rzeczywistości nie ma pewności, czy jeszcze śni, czy już jest na jawie. Szczególnie, kiedy budzi się w nieznanym miejscu, a sen był koszmarem. Szczególnie, kiedy całe życie było koszmarem. Dwudziestosiedmioletnim, całodobowym, powtarzającym się koszmarem, przerywanym cyklicznie jeszcze posępniejszymi snami.

Krzyczałem, Bóg jeden wie jak długo i głośno. Musiałem jednak wrzeszczeć ze szczególnym natężeniem, gdyż czyjeś życzliwe dłonie poczęły szarpać mnie bezczelnie, usiłując odwrócić na bok. Jakieś twarze migały mi przed oczyma, aż wreszcie świadom słów, choć niepewny realności całego zajścia, wywrzeszczałem jedyne sensowne w danej chwili zapytanie:

– Co jest, do chuja?!

– Uspokój się synu, nie mamy wyjścia, to ci pomoże zasnąć i się uspokoić.

– Puszczajcie, kurwa, kanalie, sukinsyny, capy z osranymi jajami!

Szarpaliśmy się rozpaczliwie przez kilka chwil zdających się nieskończonością, aż jej kres stanowiło zimne ukłucie w dupę, tętniące bólem, który promieniując, zamieniał się w zbawczy chłód. Sen ponownie wślizgiwał się na powieki, okrywając je całunem zobojętnienia. Przywoływał cienie, mgłę i spokój. Odpływałem, dryfując bezładnie po ciemnych wodach obłędu. Ponownie urwał mi się film.

Kolejne przebudzenie nastąpiło po nieokreślonym czasie, jednak ściemniało się i dzięki odwiecznej wędrówce słońca doszedłem do wniosku, że musiałem leżeć bez ducha przynajmniej dwanaście godzin. Przełyk palił mnie, jakbym połknął papierosa, popijając etyliną. Fala żółci zbierała się powoli gdzieś w żołądku. Kilka silniejszych torsji wstrząsnęło pokojem, krajem i zaświatami.

Wyrzygałem się na linoleum podłogi, czyniąc zwyczajowy hałas. Niektórzy potrafią rzygać w ciszy, ja zazwyczaj wrzeszczę jak jakiś zatracony wokalista z lat osiemdziesiątych, Lemmy z Motörhead dla przykładu. Mój rock'n'rollowy paw wzbudził zainteresowanie mych nadzorców. Wciąż jeszcze nie miałem pewności, czy jestem na izbie wytrzeźwień, w szpitalu, domu wariatów, czy jeszcze gdzieś indziej. Byłem niesamowicie zamroczony, z najwyższym trudem zdając sobie sprawę z własnego położenia. W każdym z wymienionych przybytków zdarzało mi się już bywać. Nigdy jednak nie było pewności. W Polsce w ogóle można być pewnym jedynie kilku rzeczy: poza śmiercią i podatkami zawsze są jeszcze najebani kierowcy i niedokształceni urzędnicy. Wiedziałem przynajmniej, że wciąż jeszcze jestem w Polsce. Nie napawało to szczególnym optymizmem, ale zawsze mogło być gorzej.

Byłem przypięty do łóżka pasami za ręce i nogi wzdłuż tułowia, co mocno ograniczało możliwość wyciągnięcia głowy poza łoże, wobec czego rzygowiny spływały na zielonkawe linoleum podłogi przez przepocone prześcieradło. Śmierdziało jak w wylęgarni smoków. Poprzez załzawione oczy, gdzieś na wąskiej krawędzi wymiarów, ujrzałem dwie pielęgniarki, ale być może tylko mi się zdawało. Mimo wszystko obecność niewiast, choćby tylko wyobrażona, uspokajała. Zawsze łatwiej je oczarować niż wąsatego oficera z izby wytrzeźwień o twarzy zazdrosnego pedofila sadysty.

– Odwiąż go z pasów, zaniesiemy go do kibla… Może pan wstać?

W odpowiedzi narzygałem jej na chodaki i upadłem w jezioro wybroczyn. Jakoś jednak wstałem. Wsparty na niewiastach dotarłem do sracza, gdzie czas jakiś oddawałem się rytualnym modłom.

– Musi pan wziąć prysznic, słyszy pan?! – wrzeszczała na mnie z gdzieś bardzo daleka.

Słyszałem, nie rozumiejąc wiele. Położyłem się na kafelkach, a one odkręciły wodę, wykąpały mnie, zmieniły pościel i ułożyły na powrót do koja.

Kiedy przebudziłem się po raz kolejny, z przedramienia sterczała mi przezroczysta linka bogata w jakąś nieodgadnioną ciecz o żółtym kolorze. Naskórek wokół wenflonu napuchł nieco, a naokoło rósł ogromny siniak. Mam cienkie żyły i ciężko się wkłuć, zapewne kiedy spałem jakaś praktykantka nabywała niezbędne doświadczenie na mych zwłokach. Tym razem mogłem już unieść się o własnych siłach. Wstałem i momentalnie pociemniało mi przed oczami. Pielęgniarka podtrzymała mnie i na powrót posadziła na łóżku.

– Pan jest niemożliwy. Dwa dni leżał bez ducha na intensywnej terapii, a teraz startuje jak na wyścig pokoju. Życie panu niemiłe czy co?

– Co mi się stało, siostrzyczko, jak tu trafiłem?

– Nic pan nie pamięta?

– Gdyby było inaczej, nie zadawałbym głupich pytań.

– Ja nic nie wiem. Dzisiaj skończył mi się urlop, jak zaczęłam zmianę, leżał pan nieprzytomny, później krzyczał, wymiotował i recytował czyjeś wiersze, chyba Słowackiego, ale pewności nie ma…

– Podobało się pani?

– Pan raczy żartować. Lekarze mówili cały czas o panu, ponoć dawno już nie widziano tu takiego ewenementu, a tu się zazwyczaj sporo dzieje.

– Chodziło mi o poezję, siostrzyczko, nie występy o charakterze artystycznym. Jak właściwie ma pani na imię?

– Agnieszka.

– Bardzo ładnie. I te oczy, wraca mnie pani światu, droga Agnieszko. W tym świetle wprawiłaby pani w zachwyt wszystkich greckich filozofów, nawet posągi, zaręczam, że skamieniałe listki figowe odpadłyby im z jajec jak nic.

– Pan doprawdy jest niemożliwy, zaraz zawołam psychiatrę! Trzy dni bez ducha, budzi się ledwo i już plugastwa w głowie!

– Ale proszę się nie unosić, oczarowała pani moje deliryczne wizje i aż do opuszczenia tego szlachetnego miejsca o nikim innym nie będę już w stanie myśleć. W sumie szkoda, że nasze pierwsze erotyczne zbliżenie nastąpiło, kiedy leżałem nieprzytomny na kafelkach w sraczu, ale wie pani, jak mawiają, żaden moment nie jest właściwy i żaden czas dostatecznie dobry…

– Pan wybaczy, ale półżywi młodzieńcy z klasycznym wykształceniem, nawet najbardziej intrygujący, zatopieni we własnych wymiocinach i dziwacznej frazeologii jakoś nie rozpoczynają mojej listy kandydatów o charakterze matrymonialnym.

– Chwila słabości, to wszystko, siostrzyczko – rzekłem z najsłodszym z uśmiechów, starając się dotknąć jej dłoni. Odskoczyła na bezpieczną odległość, rumieniąc się w półmroku pokoju.

– Cztery dni słabości, dwa na oddziale detoksykacji i leczenia uzależnień plus dwa na biomie. O wilczy bilet na dalszą odległość naprawdę niełatwo, poza tym ma pan niedawno pozszywaną głowę, co zapewne świadczy o zamiłowaniu do sportów walki bądź też miłości jednostronnej, co tym bardziej pana dyskwalifikuje. Proszę bardzo, szwy jeszcze nawet nieściągnięte…

– Mniejsza o to, jeszcze mnie pani nie zna. Ja tak mogę bez przerwy i nigdy się nie poddaję.

– Pan wcale nie musiał tego mówić, to zwyczajnie widać.

– Niech i tak będzie, Agnieszko, skoro chwilowo nie życzysz sobie dzielić ze mną, co masz najlepszego. Mogłabyś ewentualnie, tak w ramach pocieszenia, poczęstować nieszczęśnika papierosem?

– Tutaj można palić tylko do dwudziestej trzeciej, co dwie godziny. Teraz jest czwarta rano, cisza nocna, poza tym ma pan swoje papierosy, są w szafce obok łóżka. Zabraliśmy zapalniczkę ze względów bezpieczeństwa. Rano o szóstej otwieramy palarnię.

– Jakże troskliwie dba pani o moje zatracone zdrowie, niesłychane.

– O pana i jeszcze piętnastu innych deliryków.

– Łamie mi pani serce, ale co z tym papierosem? Sama mówiłaś, że spałem trzy dni, a tak długi czas bez ulubionych używek to dla nałogowca okropnie długa nieskończoność.

– W sumie sama szłam zapalić, myślę, że możemy zrobić wyjątek. Jak się pan w ogóle czuje?

– A jak wyglądam?

– Nienajlepiej.

– No właśnie.

Wstałem powoli, podtrzymując się stojaka od kroplówki. Pokonanie dwóch metrów dzielących łóżko od klozetu stanowiło niewyobrażalny wysiłek, jednak nie mieniło mi się już przed oczyma i coraz mniej kręciło się w bani. Agnieszka szła obok, asekurując mnie w razie czego. Weszliśmy do sracza i odpaliliśmy po fajce. Zasiadłem na klapie klozetowej i czas jakiś przyglądałem się jej badawczo. Była mniej więcej w moim wieku, szczupła blondynka o znudzonych szarych oczkach. Dość ładna i wyraźnie cierpiąca na brak silnych wrażeń w swoim monotonnym, zwyczajnym życiu. Dobrze znałem ten typ, wystarczyło tylko uważnie przyjrzeć się jej ukradkowym spojrzeniom, w których z rzadka na ułamki sekund błyskały płomyki pożądania tylko po to, aby zniknąć zaraz pod pozorem powagi i dorosłości. Jak każda marzyła o spokojnym i kochającym chłopaku, który po jakimś czasie okazywał się zwyczajnie nudnym i leniwym sukinsynem, a seks mechanicznie czynioną powinnością, potrzebną jedynie do gaszenia chwilowych napadów dziesięciominutowej pasji. Jednak pod fasadą powagi i dorosłości tlił się żar, którego sama nie rozumiała, a jedynie czuła jego złośliwą obecność jak drzazgę pod skórą. Jej ukryte ja wrzeszczało: „rzuć tę pracę, jedź w świat, idź się upić, zrób cokolwiek, póki jeszcze jesteś młoda i niebrzydka, zanim nastanie czas, kiedy nie będzie już wyjścia i niezbędnymi do swobodnego funkcjonowania w społeczeństwie staną się małżeństwo, stała praca i tym podobne gówna". Jednak tkwiła wytrwale w nudnej pracy, wmawiając sobie, że ją lubi, przecież studiowała po to, aby ją wykonywać. Była z chłopakiem, bo choć nudny i zwyczajny, był w gruncie rzeczy doskonały, nie zdradzał jej, nie pił, nie wszczynał awantur i pragnął stabilizacji. Jedyną szaloną rzeczą, na jaką się odważyła, było kilka imprez, gdzie uchlała się w trupa i zarzygała taksówkę, być może wypad na Przystanek Woodstock, by choć przez chwilę poczuć się częścią większego od siebie buntu, który był zresztą buntem złudnym

i przereklamowanym. Dlatego bliskość człowieka takiego jak ja, którego całe życie jest zwyczajnie opisem i definicją buntu przeciwko zastanemu porządkowi rzeczy, sprawiała, że jej kamuflowane ja, ta drzazga pod skórą uwierała jakby silniej i bardziej dokuczliwie.

– Dziękuję – powiedziałem wreszcie – za życzliwość i humanitaryzm, rzadko mnie to spotyka.

– Proszę nie czynić sobie złudzeń, taka praca – odparła, uśmiechając się w sposób, który przyprawiłby mnie o twardziela, gdybym tylko nie ciągnął tak długo i zapamiętale kokainy przez ostatnie tygodnie.

– Sama pani sobie robi złudzenia, ale niech to zostanie naszą tajemnicą.

– Pan jest doprawdy niemożliwy – powiedziała, gasząc fajkę w kranie i wyrzucając ją do plastikowego śmietniczka na podłodze. – Tylko proszę nie mówić nikomu.

– Proszę się nie martwić, słynę z dyskrecji.

– Da pan radę wstać? Czas wracać do łóżka. Czy potrzeba panu jeszcze czegoś?

– O huraganie zmysłów, jak sądzę, mogę chwilowo jedynie pomarzyć, ale nie odmówiłbym sobie kolejnego zastrzyku z jakiegoś sensownego usypiacza, ewentualnie ćwiartki żołądkowej gorzkiej bądź spirytusu.

– Na pewno ma pan coś przepisane, zaraz sprawdzę. To co, wstajemy powolutku?

Po raz drugi odeskortowała mnie do miejsca spoczynku, tak bliskiego i odległego zarazem. Pomyślałem, że tak właśnie musi wyglądać starość, której nigdy nie miałem w planach co do własnej osoby. Zawsze liczyłem, że przy spożyciu wyskoku i narkotyków, jakie uskuteczniałem od najmłodszych lat, trzydziestka będzie ostatecznym kresem mojej podróży przez czas, ostatecznym kresem wątroby i mózgu, granicą nie do przekroczenia, barierą nie do ominięcia. Właśnie teraz, na żywo, otrzymywałem konfirmację zakładanych tez.

Pokój ginął w mętnej zielonkawej poświacie, jaką dawało światełko nad drzwiami. Dopiero teraz spostrzegłem, że jedna ze ścian

była szybą, za którą znajdowała się dyżurka pielęgniarek. Ponownie łapał mnie dreszcz. Dziwaczne, obce zimno nawiedzało całe moje jestestwo. Zaczynało się od głowy i stopniowo przechodziło na resztę ciała. Złe zimno, bezradność i rozpacz. Bezkres smutku i cierpienia. Przerażenie rosło. Agnieszka nadchodziła ze strzykawką. Słyszałem ściszone głosy, drzwi od dyżurki i jej kroki na korytarzu.

– Dasz radę się odwrócić? – zapytała zamyślona.

Zawinąłem się na bok, zsuwając nieco bokserki. Ukazawszy jej rąbek swej szlachetnej dupy, rzekłem:

– Tylko się nie przyzwyczajaj, następnym razem, mam nadzieję, ty pokażesz mi swoją – odparłem cały rozdygotany, starając się dalej robić dobrą minę.

– Bardzo z tobą źle. Nie sądziłam, że aż tak. Teraz zaśniesz, ale nie na długo, to nie będzie dobry sen i raczej przyniesie same koszmary.

– Na pewno nic, czego jeszcze bym nie widział – powiedziałem i raz jeszcze urwał mi się film.

Nie śniłem jednak koszmarów ani nic. Zapadłem zwyczajnie w ciemność, aby ocknąć się rankiem. Agnieszka przyszła, żeby zapytać, czy będę jadł śniadanie. Nie miałem specjalnej ochoty poznawać pozostałych alkoholików siorbiących chciwie życiodajną owsiankę w stołówce, więc wyłgałem się brakiem sił. Wstałem, powlokłem się do sracza i zapaliłem fajkę. Nocą zostawiła mi zapalniczkę. Odlałem się ciemnopomarańczowym szczochem i wróciłem do łoża.

– Tu nie wolno palić – powiedziała z zalotnym uśmiechem, kładąc talerz z moim śniadaniem na metalowej szafce. – Jak się dziś czujemy?

– Może być, chociaż kanału La Manche wpław bym dzisiaj raczej nie przepłynął.

– Ale humor dopisuje.

– Oczywiście, wieczorem zamierzam ponowić ofertę matrymonialną względem ciebie.

Sprawdziła mi ciśnienie i temperaturę, pobrała krew, poinformowała o rychłej wizycie lekarza i podała leki, które połknąłem,

zapijając mętną inką. Nie zjadłem nic, powąchałem tylko mleczną zupę, przyjrzałem się z zaciekawieniem kilku kromkom chleba z pasztetem, wyrzygałem się w sraczu i zapaliłem kolejnego papierosa. Zasnąłem na chwilę, jednak zbudziły mnie głosy.

Siwy, niski lekarz czynił poranną inspekcję oddziału. Stał z jakąś listą w dłoni w asyście kilku starszych pielęgniarek i przyglądał mi się badawczo.

– Jak się dziś czujemy?

– Jak Mojżesz.

– Znaczy?

– Zmęczony długą drogą.

– Rozumiem.

– Doprawdy? W takim razie czekam na wyjaśnienia.

– Dostał pan padaczki alkoholowej, zapaści i bezdechu, innymi słowy delirium tremens, raczej silne, biorąc pod uwagę pana młody wiek. Ma pan też poważne zapalenie błony śluzowej żołądka. Potrzebuję wiedzieć, jakich środków pan używał, aby odpowiednio dobrać medykamenty.

– I tak nie dacie mi nic więcej jak glukozę, nitrazepam i relanium, więc po co się męczyć pisaniną?

– Po zebraniu informacji zobaczymy, co się da załatwić.

– Jak długo zmuszony jestem tu kwitnąć?

– Minimum osiem dni, o ile stan się ustabilizuje. Bardzo z panem kiepsko. Żyje pan jeszcze, bo serce ma jak dzwon, jednak wątroba jest powiększona o ponad osiemdziesiąt procent. Tak, tutaj będzie dieta wątrobowa. Nie ruszył pan śniadania. Ile to już dni nie przyjmuje pokarmów?

– Około ośmiu, ale dokładnie nie pamiętam.

– To czym się pan tak załatwił?

– Przesadziłem z szampanem.

– A na poważnie?

– Dawno nie było mnie w kraju i odczułem nieprzepartą potrzebę konsumpcji jabola, stąd chwila słabości, zdrowie już nie to samo.

– Panie Edmundzie, to jest szpital, nie komisariat. Celem istnienia tej instytucji jest niesienie pomocy potrzebującym. Może

pan strugać wariata, ale szkodzi tym samym sobie. Proszę chociaż powiedzieć, jakie środki pan zażywał, wtedy będę mógł przepisać coś więcej niż glukozę i relanium. Im więcej pan powie, tym szybciej postawimy pana na nogi. Więc jak będzie?

– Wódka, kokaina, relanium, amfetamina, grzyby, marihuana i hasz, czasami LSD, kilka razy heroina. W ostatnich trzech tygodniach tylko wóda, speed i zioło.

– A wcześniej?

– Od siedmiu lat ani jednego dnia nie byłem trzeźwy.

– To ciekawe.

– Ja wiem, świat na trzeźwo jest nie do przyjęcia.

– Jak dużo wódki dziennie w ostatnim czasie?

– Mój rekord to dwanaście ćwiartek jednego dnia, ale różnie bywało. Ostatnio mieszałem co tylko weszło mi w ręce, ale od dwóch dni, zanim tu trafiłem, właściwie starałem się tylko podleczyć, uporządkować doznania, jak mawia klasyk. Co się właściwie stało? Pamiętam, że byłem już w pociągu w drodze nad morze.

– Pan był nie tylko w pociągu, ale również w ciągu, alkoholowym. I to dość poważnym. Ile pan pił podczas, jak pan to nazywa, „uporządkowywania doznań"?

– Starałem się jak najmniej, około trzech, czterech ćwiartek dziennie, plus piwa, zioło i relanium, aż mi zabrakło.

– Typowy syndrom odstawienia. Pan zdaje sobie sprawę, jak bliski był śmierci? Dostał pan padaczki alkoholowej, potem zemdlał w pociągu i niemal się udusił.

– Gówno chodzi po ludziach.

– Można to i tak ująć. Pan już był leczony odwykowo – stwierdził.

– Trzykrotnie, w Woskowicach, Miliczu i jeszcze jakimś zadupiu, którego nazwy nie pamiętam.

– Nie pomogło?

– Najwyraźniej.

– Wcześniej zdarzały się tak dramatyczne stany?

– Bywało gorzej. Jedna dziewczyna, kiedyś sypiająca ze mną, często budziła się przerażona, bo oddychałem tak płytko, jakbym był martwy. Czasem bez powodu tracę przytomność, takie tam.

Ja w ogóle mam problemy ze snem, ale nigdy nie odpłynąłem na tak długo.

Doktor zamyślił się, notując coś w notesie. Pielęgniarki przyglądały mi się z zaciekawieniem, w sposób, w jaki można obserwować z bliska krokodyla o szczególnie złośliwym charakterze.

– Pragnie pan zawiadomić przez nas kogoś o zaistniałej sytuacji?

– Tak, ale nie przez was. Sam zadzwonię.

– Tutaj nie wolno używać telefonów.

– Coś się na pewno da załatwić.

– Potrzebuję jeszcze pańskich danych, adres, nip, i tak dalej.

– Nie mam żadnej z tych rzeczy. W Polsce mam status bezdomnego, nigdy tu nie pracowałem, chwilowo przebywam na urlopie.

– To gdzie pan mieszka?

– W Amsterdamie, tam też pracuję.

– Tamtejsze ubezpieczenie pokryje więc koszta leczenia?

– Nie ma szans, jestem ubezpieczony jako turysta i nie przysługują mi żadne świadczenia. Pracuję w szarej strefie, niby jako pracownik sezonowy, tym sposobem firma oszczędza pieniądze.

– To nielegalne.

– To półlegalne. Wystarczy, żeby żaden urząd się nie przypierdalał. Tak to już jest, kiedy się jest białym murzynem Europy.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał, zerkając na mnie sponad swoich notatek.

– To, że muszę zapierdalać trzy razy więcej i ciężej od czarnucha, geja czy Araba, ponieważ nie ochrania mnie żaden aspekt „poprawności politycznej", religia, kolor skóry, mniejszość seksualna ani nic z tych rzeczy, wobec czego łatwo mnie zwolnić pod byle pretekstem. Czarnuch, Arab albo pederasta w razie czego zawsze może powołać się na fakt, iż jest prześladowany, co czyni przełożonym całą masę problemów, wobec czego zostawiają ich w spokoju, skupiając swą frustrację i niezaspokojone ambicje na nas, Polakach – białych murzynach Europy.

– Skoro tak bardzo to pana irytuje, dlaczego nie wróci pan do Polski?

– Bo tutaj jestem jeszcze większym murzynem, zapierdalam tak samo jak tam, za cztery do pięciu razy mniej pieniędzy. Nie stać mnie nawet na wynajęcie mieszkania i papierosy, a wysługuje się mną jakiś burak, któremu mama i tata opłacili prywatne studia, a sukinsyn nawet dobrze czytać nie potrafi. W Polsce jestem jeszcze większą i biedniejszą szmatą jak za granicą. Poza tym nie podoba mi się tutaj.

– Czym się pan właściwie zajmuje?

– Dziennikarstwem.

– Doprawdy? Do jakiej gazety pan pisze?

– Do żadnej, zabawne prawda?

– Zależy, jak na to spojrzeć.

– Jakbym nie patrzył, zawsze jest zabawne.

– Pracował pan kiedyś w zawodzie?

– Oczywiście, ale sponsor poszedł siedzieć i szlag trafił gazetę. Poza tym co i rusz ktoś mnie pozywał do sądu, więc nabawiłem się podejrzliwości względem rodaków, nie ufam sukinsynom. Proszę zapisać w kajecie: stany paranoidalne i mania prześladowcza, od biedy można dodać psychozę amfetaminową, będzie się lepiej komponować z całością materiału.

– Ciekawy z pana rozmówca, ale nie odpowiedział pan na pytanie, z czego właściwie się utrzymuje?

– Zapierdalam.

– Gdzie pan „zapierdala", jak się wyraził, jeśli można wiedzieć?

– Czy to takie ważne gdzie? Kiedy trzeba zapierdalać, to wszędzie jest tak samo.

Poszedł sobie wreszcie, kończąc to idiotyczne, bezsensowne przesłuchanie. Znałem swoje ciało i wiedziałem doskonale, że skoro jeszcze żyję, to czymkolwiek nie stawialiby mnie na nogi, sam bez niczyjej pomocy wstałbym wreszcie i tak. Leżałem sobie, rozprawiając nad tym, co mu powiedziałem. Myślałem o swoim amsterdamskim kołchozie, alkoholu i ponętnych piersiach siostry Agnieszki. Nadeszła akurat w chwili, kiedy mój fiut zaczynał się unosić.

– Witam, przyszła siostra zaspokoić drzemiące we mnie żądze?

– Nie, przyniosłam pański telefon i pozostałe papierosy.

– A już miałem nadzieję.

– Zmienił pan kolor, już nie jest sinozielonkawy, to dobrze. Jak głowa?

– Z głową w porządku, ale przez panią pęka mi serce… i spodnie – odparłem, ukazując gestem namiot sporych rozmiarów. Zaczerwieniła się, przepięknie przy tym uśmiechając, jednak kontynuowała oficjalnym tonem:

– Zaraz i głowa może panu pęknąć, bo przyjmujemy nowego delikwenta, z którym będzie pan zmuszony dzielić pokój. Jeśli będzie tak wesoły, jak pan był na początku, radzę poprosić o przeniesienie, albo podwójną dawkę nitrazepamu wieczorem.

– W takim razie może weźmie mnie pani do siebie, gdzie podda jakimś ożywczym zabiegom, w sypialni na przykład. Zaręczam, że nie sprawię najmniejszych kłopotów, a nawet… – podała mi komórkę, uśmiechając się kącikami ust.

– Jest naładowana. Właśnie skończyłam zmianę, przyjdę jutro po południu sprawdzić, jak się pan miewa. Proszę odnieść telefon do dyżurki, kiedy pan skończy. No i raz jeszcze powtarzam, żeby nie palił pan w toalecie… za często, bo będzie draka. Palarnia jest otwierana co dwie godziny.

– Jestem pewien, że jaranie w jakiejś kanciapie w towarzystwie piętnastu pozostałych alkoholików niesie ze sobą niezapomniane nauki moralne i związane z tym efekty pedagogiczne.

– Zdziwi się pan, jak wielkie.

– Już się dziwię.

– Do widzenia.

– Skoro tak pani uważa.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Włączyłem telefon, na którym było piętnaście nieodebranych połączeń z jednego tylko numeru. Oddzwoniłem z klozetu, gdzie odpaliłem papierosa, rozsiadając się wygodnie na klapie od sedesu.

– Ej, miałeś być trzy dni temu, coś się stało?

– Jestem w połowie drogi, utknąłem w dość nietypowym miejscu.

– Jaśniej. O co chodzi?

– Jestem w szpitalu, jeszcze kilka dni będę musiał pozostać na obserwacji.

– Jezu, pobiłeś się z kimś?!

– Nie wyzywaj mnie i nie pobiłem się z nikim. Zasłabłem w pociągu, to wszystko. Mogę do ciebie przyjechać, kiedy mnie wypuszczą?

– No jasne… Ale jak to zasłabłeś? Coś kręcisz. Powiedz prawdę.

Zaciągnąłem się głęboko w poszukiwaniu właściwych słów. Nie było sensu kłamać, postanowiłem powiedzieć jej prawdę, tylko nie wiedziałem jakimi słowami.

– Halo, jesteś tam? – rozległo się po drugiej stronie.

– Jestem, jestem… Pamiętasz, jak ci mówiłem, że dałem czadu we Wrocławiu?

– Pamiętam…

– Tym razem trochę przesadziłem i kiedy byłem w drodze, starałem się doprowadzić do używalności i… zasłabłem, straciłem przytomność, na prawie trzy dni…

– Przedawkowałeś?

– Niedodawkowałem, można by rzec.

– Syndrom odstawienia?

– Jestem na detoksie, walą mi w kable glukozę i inne gówna.

– Przyjadę do ciebie.

– Nie ma potrzeby. Jak tylko mnie wypuszczą, siadam w pociąg i jadę.

– Gdzie jesteś?

– Będę za trzy dni, mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia – powiedziałem jej, kazała mi się trzymać i rozłączyliśmy się.

Usłyszałem odgłos otwieranych drzwi od pokoju i kroki.

– Skończył pan? – zapytał stary, skrzekliwy głos zza cienkich drzwi od klozetu.

– Jak skończę, to wyjdę. Nie myśli pani chyba, że wrócę, aby się wysrać na podłogę w pokoju?

– Z wami nigdy nic nie wiadomo.

– Z wami też, dlatego siedzę w sraczu.

– Proszę wychodzić, muszę zrobić panu zastrzyk.

– Proszę odejść, muszę się wysrać, a pani mnie onieśmiela – odparłem rozdrażniony.

– Pan tam nie pali papierosów?

– Nie, wstrzykuję sobie heroinę w oko.

– Proszę wychodzić!

Zgasiłem papierosa i wyrzygałem się raz jeszcze samym glutem. Wycharczawszy się jak Pan Bóg przykazał, opuściłem sracz, dyskretnie brzęcząc stojakiem od kroplówki. Przyjąwszy witaminy, zasnąłem po raz kolejny.

Pierwszym uczuciem, jakiego doznałem po przebudzeniu, był głód. Nie jadłem już od wielu dni, a zbawcze płyny, jakimi raczono moje żyły, jedynie podtrzymywały ciało przy życiu. Poza tym już czwarty dzień nie zażywałem wyskoku i zaczynały mi wracać normalne, ludzkie potrzeby, jak jedzenie właśnie. Czułem się znacznie pewniej, wiedziałem, że będę już w stanie chodzić o własnych siłach. Uniosłem się nieco i dostrzegłem, że drugie łoże jest już zajęte. Leżący na nim alkoholik bądź narkoman był mniej więcej w moim wieku, był jednak wyższy i chudszy. Jego szare oczy przypatrywały mi się badawczo z drwiącym, wodnistym blaskiem. Na całym przedramieniu miał wytatuowane gołe baby. Pocił się mocno, podczas gdy ja marzłem.

– Leżałeś bez ruchu tyle godzin, że zaczynało mi się zdawać, iż tę noc spędzę z trupem w jednym pokoju – zagaił.

– Bez obaw. Poza tym ciesz się, że nie wpadłeś wcześniej, bo gotów byłbyś myśleć, że leżysz w pokoju z Michałem Wiśniewskim, tak wesoło tu porzygiwałem.

– Już po wszystkim?

– Nigdy nie wiadomo.

– W ogóle nic nie wiadomo, przecież jesteśmy w Polsce.

– Z ust mi to wyjąłeś. Leżymy tak sobie pod prostownikami – rzekłem lirycznie, dokonując inspekcji ilości płynu pozostałego w naszych kroplówkach – a miliony kropel lecą nam do żył. Wszystko pięknie, ale chce mi się jarać, jeść, pić i bzykać.

– Można by zajarać w klozecie, obiad podają za piętnaście minut, ale na bzykanie nie licz, przynajmniej ze mną.

– Nic się nie bój Eltonie Johnie, nie gustuję w ezoterycznej woni gówna. Poza tym jedna pielęgniarka chyba mnie kocha.

Wstałem, zerkając za szybę, ale w dyżurce nie było nikogo. Wyjąłem paczkę fajek z metalowej szafki przy łóżku i skierowałem się wolno w stronę sracza. Nowy lokator podążył za mną, pobrzękując miarowo własnym stojakiem od kroplówki. Zająłem zwyczajowo miejsce na sedesie i odpaliłem fajkę, on uczynił to samo, stojąc i zapytał:

– Co zrobimy, jak nadciągnie piguła?

– Zanim opuścimy klop, wysram się na podłogę, umażę sobie chuja gównem, wyjdę obnażony i z wyrazem największego zadowolenia na mojej rumianej twarzy wytłumaczę jej, że to ty jesteś ten pasywny – odparłem, podkreślając przemowę wspaniałym gestem.

– Ani mi się waż nawet myśleć w ten sposób, pojebie!

– To przestań zadawać głupie pytania.

2. Płomień

Tuż przed obiadem stara piguła odłączyła nasze puste już kroplówki i powlekliśmy się z moim lokatorem do stołówki, podtrzymując się nawzajem. Wenflony dalej malowniczo wisiały nam u żył. Długi, ciemny korytarz był gęsto oblepiony antyalkoholowymi plakatami i wesołą twórczością rezydentów. Odczytaliśmy deliryczny wiersz anonimowego autora, traktujący o odrodzeniu moralnym, jakiemu się poddawał kilka lat temu w tym samym ośrodku. Pewien byłem, że nie minął nawet miesiąc od jego wyjścia z detoksu, jak ponownie chwycił za oręż, zasiadając w jakimś nadzwyczaj oblężonym okopie na alkoholowym froncie.

Tuż obok stołówki znajdowały się drzwi wyjściowe na świat. Przezornie nacisnąłem klamkę, aby stwierdzić, że wrota są zaryglowane. Nie będzie wcale łatwo stąd spierdolić, pomyślałem sobie, rozpatrując alternatywne drogi ucieczki. Jakiś grubas spieszący ku korytu z kubkiem w dłoni zbliżył się do nas, uśmiechając się złośliwie.

– To jest oddział zamknięty, panowie – rzekł z nieukrywaną radością, jaką daje idiocie złudne poczucie wyższości nad kimś innym.

– Doprawdy? A ja myślałem, że jesteśmy na zielonej szkole – odparłem, robiąc zeza. Grubas zmierzył mnie wzrokiem i z wyrazem nieukrywanego oburzenia odszedł wpierdalać obiad.

– Czasem się zastanawiam, czy przywieźli cię na odpowiedni oddział – powiedział mój lokator. – Być może psychiatryk byłby bardziej stosowny w twoim przypadku.

– Żadna różnica, wszyscy i tak jesteśmy wariatami, tylko bez odpowiedniej diagnozy – odparłem i wkroczyliśmy do stołówki.

Siwy jegomość z wąsem nakładał żarcie przywiezione na wózku. Nam dwóm podał obiad bez kolejki i niemym gestem nakazał zasiąść przy jakimś stole. Alkoholicy siorbali zupkę, cmokając, jak przemawiający do tłumów Jarosław K. Kiedy weszliśmy, spoglądali na nas ukradkowo. Rzut okiem na tę zatraconą w opilstwie zbieraninę wystarczył, bym zorientował się, iż większość z ich bezzębnej zgrai pochodziła z okolicznych wsi, gdzie zaprawili się wyrobami spirytusowymi już tak potężnie, że bez pomocy szpitala bezsprzecznie zawędrowaliby na zieloną trawkę.

Usiedliśmy przy stoliku pod oknem, gdzie siedział jeden tylko dziadyga w pidżamie, chciwie siorbiąc ogórkową. Dolewał sobie co chwila, raźno wywijając chochelką.

– To miejsce fryzjera – powiedział z dziecinnym uśmiechem.

– Chuj mu w cyc – odpowiedziałem tak, żeby wszyscy usłyszeli.

Dziadyga zakrztusił się kartoflem i zarzęził potężnie, opluwając całą pidżamę zupką. Grubas podszedł do niego i pierdolnął z rozmachem w plecy. Dziadyga wówczas wypluł swój kartofelek z powrotem do talerza, otrząsnął i ponownie uśmiechnął się jak dziecko.

– Bóg zapłać – powiedział, kiwając głową, po czym nabrał na chochelkę więcej zupy i uzupełnił talerz. Grubas stanął za mną i nie wydawało się, aby miał zamiar ustąpić. Miałem go głęboko w dupie i sączyłem ze swojego talerza.

– Dziadzia wytłumaczył ci już, że siedzisz na moim miejscu – powiedział. Nie odwracając się, upiłem łyżeczkę, odstawiłem od ust i zatopiłem w talerzu.

– Siądź sobie gdzieś indziej, grubasie – odrzekłem. – Prędko, zanim stary wychla całą zupę na stołówce i twoje pasożyty pójdą spać głodne.

Złowieszczy szum przewinął się po wąskiej stołówce niczym fala. Idiota położył mi rękę na ramieniu. Spojrzałem w wodniste oczy mojego lokatora, który był już cały mokry od potu i z napięciem obserwował zajście.

– No już, zwijaj młody, to moje miejsce.

Odstawiłem łyżkę, chwyciłem widelec w prawą dłoń, lewą przycisnąłem jego dłoń do ramienia, za które mnie trzymał,

a następnie prawą ręką wykonałem wymach, wykręcając go i obalając na sąsiedni stół samą dynamiką i bólem, jaki odczuł w wykręconej ręce. Przytrzymałem go lewą ręką za wykręcony nadgarstek, by prawą przycisnąć widelec do krtani.

– Powiedz mi to teraz, a ogolę cię po raz ostatni!

– P-p-p-puść… n-n-n-ic c-c-ci n-nie z-zro-o-bię.

Przycisnąłem widelec mocniej. Ktoś wstał, ale mój lokator wstał również, uderzając stołkiem o ścianę. Tamten usiadł potulnie, bojąc się utraty pozostałych dwóch zębów. Typowa polska solidarność i braterstwo dały raz jeszcze znać o sobie, nikt się nie poruszył. Znali się pewnie wszyscy spod miejscowych murków i skwerków, jednak zesrani milczeli, pokornie wbijając wzrok w żarcie przed sobą. Dziadyga się cieszył, kiwając głową z uznaniem.

– He, he, jak we filmach z Brucem Lee – zawył uradowany, klaszcząc wysuszonymi dłońmi.

– Ty też siadaj, grubasie – wysyczałem i pchnąłem go, kopiąc w kostkę tak, że zahaczył nią o drugą nogę i jebnął jak długi z pluskiem między stolikami. Wyprostowałem się, a adrenalina schodziła tak mocno, że z miejsca pociemniało mi w oczach i upadłem na grubasa. Ogórkowa wzbierała mi w gardle zieloną falą i soczyście rzygnąłem mu na tors. Pociemniało mi w oczach. Na twarzy poczułem tylko chłód posadzki i bezwład wszelkich kończyn, a później już nic.

* * *

Bar był jasny i czysty. Kilka par siedziało przy stolikach, rozmawiając między sobą ponad ognikami zapachowych świeczek. Spokój miejsca udzielał się wszystkim. Szczupły barman polerował szkła. Radio grało jazz. Wsadziłem mój długi, żydowski nochal do szklanicy z whiskey, chłonąc jej specyficzny zapach całym sobą, a potem wypiłem na raz i kojące ciepło wybuchło mi w piersi, elektryzująco napędzając serce. Krew przyspieszyła. Kolejna szklanka sunęła już w moją stronę po marmurowym blacie. Złapałem ją i mrugnąłem na barmana. Skinął głową, uśmiechając się.

– Dawno cię nie było – odezwał się Misza Grisza zza moich pleców. – Ile to już będzie? Ze trzy lata, Mundek.

– Tak – odparłem w zamyśleniu. – Trzy lata, dwa miesiące i szesnaście dni.

– Nie sądziłem, że wrócisz do Anglii, miałem nadzieję, że zobaczymy się jeszcze, ale nie wierzyłem w to.

– Ani ja nie wierzyłem. Wiele się wydarzyło, kiedy mnie nie było, ale ty nic się nie zmieniłeś, Misza.

– Ty za to schudłeś i postarzałeś się mocno. A i co do mnie się mylisz, ale o tym później.

– Jak tutaj trafiłem, księżycowy druhu? Nie pamiętam samolotu ani drogi, a ten płaszcz, który mam na sobie, przecież przepadł dawno temu.

– W życiu przepadają tylko rzeczy, o których zapominamy. Tutaj wszystko jest tak, jak to zostawiłeś: i płaszcz, i metalowa, rzeźnicka rękawica na frajerów, i dziura w szybie, twój kij od bilarda czeka wciąż na szafie, i dziewczyny, zaraz zadzwonimy, przyjdą jak dawniej. Nie przyznają się nikomu, ale bardzo tęskniły za tobą, jak my wszyscy. Tutaj naprawdę nie zmieniło się nic i brak nam twojej zakazanej gęby. Nudno jest.

Misza Grisza usiadł na stołku obok, a jego drink nadjechał po marmurowym blacie, zatrzymując się dopiero w oczekującej na niego dłoni.

– Dlaczego tutaj jestem, Misza? Nic z tego nie rozumiem.

– Jesteś tutaj, bo ciągle nie umiesz nas zostawić. Tęsknisz tak samo, choć nigdy się do tego nie przyznasz.

– Daj spokój, wiesz przecież, że nie okłamałem cię nigdy i zdajesz sobie sprawę, dlaczego musiałem wyjechać…

– Oczywiście, ale choć zostawiłeś nas, nie odszedłeś stąd nigdy. Dalej żyjesz w sercach ludzi, tak jak my żyjemy w twoim. Ale czas się pożegnać, przynajmniej ze mną. Zanim jednak odejdę, muszę zabrać cię w kilka miejsc i pokazać kilka rzeczy.

Dopiliśmy drinki na raz i z chwilą, kiedy nasze pękate szkło dotknęło zimnego blatu baru, szliśmy już po głównej ulicy pod arkadami. Było zupełnie pusto, ciemno i cicho. Nie wiał wiatr, czuć było ciepły asfalt ulicy i lekką bryzę od morza zmieszaną ze